GŁOS NARODU

Ostatnie dni w Flavigny.

(Obrazek z dziejów prześladowań klasztorów Dominikańskich we Francji, skreślony przez jednego z zakonników).

....W klasztorze, siedząc przy stole wśród porozrzucanych sprzętów, na snopku słomy, robotnicy spożywają podwieczorek. Rozmawiają szeptem, jak gdyby w pokoju leżał umarły.

— Patrzcie! Ojciec... Powraca więc Ojciec?

I ręce wyciągają się do niego. Znają się od lat dwudziestu!

Zakonnicy spieszą się, odchodzą i wracają. Wszędzie gwoździe, młotki, skrzynie. Rzecby można, że to rabunek jakiś. Przy drzwiach w ogrodzie widać wozy.

— To do Gendawy, to tutaj do Rougefontaine. A osie skrzypią pod ciężarem.

Na wszystkiem, na rzeczach i na ludziach można położyć etykietę: wygnanie! Młodzi ludzie, łagodni i uśmiechnięci w swym białym habicie św. Dominika, starzy, sterani w mozolnych i chwalebnych walkach apostolskich — wszyscy odchodzą. Zdawało im się, że ziemia Francji, ich matka, posiada dość szerokie ramiona, by ich objąć jednym uściskiem. Było to złudzeniem! Francja jest krajem, w którym mówi się najwięcej o wolności, a daje się jej najmniej.

Ciężkie wozy odjeżdżają ciągle, młoty kują bezustannie.

Odzywa się dzwonek. To godzina ciemnej jutrzni, gdyż to wielka środa. Po dwóch nowicjusze przechodzą, poważni w swym smutku. Są liczni, pełni życia, bogaci w zapał, elita inteligencji i serca. Kiedy tak przechodzą wśród tych gruzów swoich marzeń skupieni, ożywia się nadzieja. Święta iskra w ich duszy rozpali popioły.

De lamantationae Jeremiae prophetae! Oto, co śpiewają. To Kościół, płaczący nad męką Zbawiciela, kładzie na ich usta te słowa boleści. Jakiż tajemniczy zbieg okoliczności! Trzy dni łez dla Jezusa, trzy dni łez dla Jego uczniów!

Wśród pieni ponurych słychać wołania robotników, uderzenia młotów, skrzypienie kół. Śpiewają dalej: „Drogi Sionu płaczą, że nie masz, ktoby szedł na święto uroczyste: wszystkie bramy jego pokażone, kapłani jego wzdychający, panny jego zmęczone, a sama gorzkością ściśniona...“

Biedny i kochany kościół w Flavigny, tak pełen wspomnień radosnych! Opustoszenie zbliża się może jutro. Czyż Biskupi nie otrzymali od władzy świeckiej rozkazu zamknięcia domów Bożych? Ilu z nich ośmieli się usłuchać?

Wielki piątek... Ciężkie wozy jeżdżą ciągle. Panuje pospiech. Nie wystarcza nakazać wygnanie, oprawcy chcą jeszcze ograbić przemocą. Wszyscy spieszą się, chcą ujść przed grabieżą rabusiów.

W kościele zakonnicy oddają hołd krzyżowi swego Boga. „Domine quo vadis?“ Panie, dokąd idziesz? — Idę do Rzymu pozwolić ukrzyżować się powtórnie. Piotr zrozumiał. Oddał hołd mistrzowi i wrócił do Rzymu. Czekał go tam Neron!... Przez co przeszedł Zbawiciel, przez to przejść muszą Jego uczniowie. Droga jest trudna, ale na jej końcu zmartwychwstanie!

Depesza: „Ojciec Masson umarł!“ To trzeci od miesiąca. O! jak dobrze czynią. „To czas hańby, a mów cicho, nie budź mię!...“ Tak napisal Michał Anioł u stóp posągu nocy. To czas hańby... lepiej umrzeć!

Wieczorem w wielką sobotę, przy grobie Chrystusa, łącząc łzy swoje ze łzami matki

i świętych niewiast, Kościół śpiewał: „Wspomnij Panie, co się nam przydało; wejrzyj, a obacz zelżywość naszą. Dziedzictwo nasze obróciło się do cudzych, domy nasze do obcych. Sierotami zostaliśmy bez ojca, matki nasze jako wdowy. Wodę naszą piliśmy za pieniądze: drwa nasze za pieniądze kupowaliśmy. Za szyje nasze gnano nas, spracowanym nie dano odpoczynku... Starcy z bram ustali, młodzieńcy z tańca śpiewających... Dla tego stało się smętne serce nasze, dla tego zaćmiły się oczy nasze. Dla góry Sion, że zginęła, liszki chodziły po niej...“

Słuchaliśmy wzruszeni, z głową spuszczoną tej rozdzierającej modlitwy Jeremiasza.

Jutro dom nasz również przejdzie do obcych, a lisy biegać w nim będą.

Wielkanoc!

Nasze serca tak mało usposobione do radości. Potrzeba wysiłku, aby śpiewać „Alleluja!“ Wcześnie, skoro świt, odbywamy wedle dominikańskiego zwyczaju procesją z Najśw. Sakramentem po ogrodzie. Żadnej okazałości, żadnej ozdoby świątecznej, to, co konieczne — nic więcej. Ale *On* tam jest, to wystarcza. Oczy Jego muszą zobaczyć po raz ostatni dom, który opuścimy, musi tam rzucić posiew zmartwychwstania, którego pełne dzisiaj najświętsze dłonie Jego.

Spełniono święte obrzędy. Mimo wzruszeń odjazdu nie pominięto nic. Spokojni, połączeni z Chrystusem w swem sercu, Kaznodzieje do ostatniej minuty pragną oddać Bogu, co jest Boskiego. Teraz mogą powiedzieć z swym mistrzem: „Consummatum est!“

Rozpoczyna się odjazd. Co wieczór, od poniedziałku do czwartku wielkanocnego, po odśpiewaniu „Salve Regina“ klękają grupy zakonników przed przeorem, aby odebrać jego błogosławieństwo. Są to pożegnania, które rozdzierają na szmaty ten nowicyat tak pilny i tak gorliwy. Na „Salve“ jest nas tylko dwudziestu, potem dziesięciu, wreszcie czterech — już koniec.

Kościół wypróżnia się milknie. Ogołacają go z ołtarzy, obrazów, posągów. Sam jeden na opuszczonem tabernaculum krzyż wyciąga ramiona — już nie ma nic prócz niego.

...Szybko! szybko! Położą pieczęcie. Pospieszają zdjąć jeszcze resztę, jaka pozostaje w klasztorze. Na dworze straszliwa niepogoda. Zaspy śniegu sypią na klasztor, wicher dmie ostrą nutą. Wśród wichru, w błocie i wodzie, uciekają, biegną z zdobyczą jak rabusie jacy.
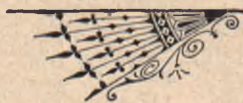
I widzę memi oczami obraz, którego nigdy, przenigdy nie zdołam zapomnieć. Posąg O. Lacordaire z powrozem na szyi zstąpił z piedestału i ciągną go w błocie, jak złoczyńcę. Jego!... Musi odchodzić, uciekać, kryć się, on! Lacordaire!

Sędzia pokoju zjawia się. To koniec bolesnej agonii. Mieszkanie nasze pogwałcono. Obcy krążą w niem, jak lisy — powiedziałby prorok. — Kładą pieczęcie na miejsce puste, posępne w swem ogołoceniu. Oszczędzono tylko cele nasze. Jeszcze mają przejść wstyd spisania ruchomości: krzesło, łóżko, stół ot i wszystko. Ale to brutalne położenie ręki na tych przedmiotach tak skromnych, wydaje się wstrętniejszem. Wszystko skończone, „lisy“ odchodzą, drzwi zamykają się... już się dla nas nie otworzą więcej!

Koło opuszczonego klasztoru słychać tylko miarowy i obojętny chód straży.

...Tam, nasi ukochani zmarli już nie będą odwiedzani, żadna dłoń bratnia nie umai ich grobu. Ale zmarli są Bożym posiewem. Spoczywają obok siebie na tym ukochanym cmentarzu. O. Piel i Brat Requédat, ci obrońcy odrodzenia dominikańskiego we Francji przez O. Lacordaire. „Primitiae et numen“. On to wyrył ten napis na ich kamieniu. To, czego oni strzegą, będzie strzeżone dobrze!

Tłóm. S t a.....



NASZE PTAKI WĘDROWNE.

III.

Ciągi jesienne naszych ptaków.

Lato zbliża się już ku końcowi; roślina jedna po drugiej, owocują i śpieszą rozsiewać nasiona, zwierzęta odchowały już młode albo są właśnie zajęte ich wychowywaniem. Ptaki osiągnęły cel swego przybycia do strefy umiarkowanej; odchowały już jedno pokolenie małych, a niektóre nawet dwa; pisklęta są już mniej lub więcej uzdolnione do lotu. A jednocześnie naokoło warunki zaczynają się zmieniać na gorsze: w powietrzu czuć powolne zbliżanie się jesieni. Nie ma już co robić, czas myśleć o odlocie do ciepłych krajów, zanim jesień zapanuje na dobre i dadzą się czuć pierzom podmuchy zimy.

W końcu lata zaczynają się ciągi jesienne naszych ptaków i trwają przez całą jesień aż do początku zimy. Nie wszystkie przytem ptaki odlatują jednocześnie; każdy gatunek tak samo jak i na wiosnę, ma właściwą sobie porę odlotu, zależną od rodzaju pożywienia i mniejszej lub więk-

szej wytrzymałości i zahartowania. Jednakże terminy odlotu są mniej ściśle od przylotów i ulegają znacznie większym wahaniom. Jak było do przewidzenia, najpierwej odlatują te przeważnie ptaki, które najpóźniej zjawiają się na wiosnę, których istnienie najbardziej jest związane z latem i ciepłem, z obfitością owadów i które wskutek tego bawią u nas najkrócej. Najdłużej pozostają zwykle te gatunki, które przybyły na wiosnę najwcześniej, które są najlepiej przystosowane do naszego klimatu. do ostrych warunków życia zarówno na początek wiosny, jak i przy końcu jesieni,

Rozpatrzmy tu w krótkości terminy odlotu ważniejszych naszych ptaków przelotnych dla przekonania się, iż prawidło to stosuje się do znacznej ich większości i że dla dużej ich liczby można istotnie wykazać poczynający się brak pożywienia, jako powód wędrówki jesiennej. Znajdziemy jednak tutaj także niejeden wyjątek od tego ogólnego prawidła. I co ciekawsze, opisy tych odlotów musimy, niestety, zacząć właśnie od wyjątków, ale przecież wiadomo, że „niema prawidła bez wyjątku“.

Ciągi jesienne u nas zaczynają się właściwie nie w jesieni, lecz w środku lata, a dają im początek ptaki błotne i wodne, mianowicie czajki, te same czajki, które przylatują do nas, kiedy ziemia leży jeszcze pod śniegiem i które wraz ze szpakami i skowronkami należą do pierwszych zwiastunów wiosny. Trudno wytłómaczyć tę ich wczesną ucieczkę, dość jednak, iż zabierają się one do podróży zaraz po odchowaniu młodych, nieraz już w czerwcu, a więc kiedy ciągi wiosenne innych ptaków zaledwie zostały ukończone. Widać po nich wyraźnie, iż przyleciały do nas jedynie dla wychowania potomstwa. Odlatują powoli i stopniowo rodzinami przez cały lipiec i z końcem tego miesiąca nie ma ich już u nas wcale. Nie brak pokarmu wypędza je od nas, bo jeszcze we wrześniu i październiku znajdują go liczne rzesze czajek północnych; zapadają u nas na krócej lub dłużej dla wypoczynku.

Tak samo z końcem czerwca zaraz po odchowaniu młodych ruszają się brodźce, a zwijają się tak szybko, że zwykle przed 15 lipca zdążają już wszystkie opuścić nasze strony.

W lipcu zaczynają również ruszać się bekasy, nie odlatują jednakże odrazu: odchowawszy młode, przenoszą się w końcu lipca na obfitujące w żywność łąki podmokłe i dopiero spasszy się w nich porządnie, puszczają się w drogę w sierpniu, tak, iż we wrześniu nie widać ich już zwykle wcale. Te zaś które można zobaczyć później w październiku, to są ptaki nie nasze, lecz przyciągające z północy. Ten zresztą wczesny odlot sierpniowy tyczy się wyłącznie dubeltów; kszyki i ficlauzy bawią u nas dłużej, zwykle do pierwszych mrozów i śniegów, tak samo jak i słowiki, które przyleciawszy wcześniej od innych, odlatują też później, zwykle koło połowy listopada.

Lipca nie możemy jeszcze uważać za właściwy początek ciągów jesiennych, bo w tym czasie uciekają od nas wyjątkowo tylko niektóre ptaki, jak czajki i brodźce. Właściwe odloty, na większą skalę i wśród większej liczby gatunków zaczynają się w sierpniu, zwłaszcza w drugiej połowie. Szczególnie ożywionym staje się wówczas ruch na wodach i błotach, przedewszystkiem dlatego, że w miesiącu tym odlatuje dużo gatunków z północy, z których jedne zaraz podążają dalej, inne natomiast pozostają u nas na miesiąc, a nawet na parę miesięcy, powiększając w sposób niepospolity liczbę ptastwa wodnego i błotnego, na które teraz właśnie nadchodzi najodpowiedniejszy czas do polowań.

Ale już w sierpniu niektóre z naszych ptaków umykają na południe; oprócz wspomnianych przed chwilą bekasów, odlatują przed końcem tego miesiąca rybołówki, kuligi, bawiące najwyżej do pierwszych dni września, oraz bociany, które odbywszy walne sejmy, znikają prawie wszystkie jednocześnie z taką samą punktualnością, koło 25 marca. Warunki jednak na wodach i błotach nie uległy jeszcze właściwie pogorszeniu i dla tego większość ptaków, których istnienie związane jest z wodą, pozostaje u nas przez wrzesień i październik, a niektóre i dłużej.

Odlatuje jeszcze tylko błotnik, którego wypędza od nas chyba brak jaj i piskląt o tej porze; zresztą należy on do ptaków, później przylatujących, nic więc dziwnego, że ucieka wcześniej. I opuszczają także szuwary rozmaite trzcionki z wyjątkiem jednej rokitniczki, która u nas bawi do października, dłużej od innych, chociaż bynajmniej nie przylatuje wcześniej od nich.

Z ptaków owadożernych, oprócz trzcionek odlatują jeszcze w sierpniu prawie wszystkie te, które najpóźniej przybyły do nas, mianowicie w maju; a więc: jerzyki, kukułki, zresztą tylko stare, młode bowiem ciągną zwykle razem z przybranemi rodzicami, to jest z temi ptakami u których się wychowały; dalej słowiki, dzierzby (z wyjątkiem gąsiorka), oraz barwne wilgi i kraski. Uciekają również w tym miesiącu niektóre gajówki (Sylvinae), widocznie bardziej delikatne, a także podróżniczek, którego najwyżej można jeszcze spotkać w pierwszych dniach września; tak samo w tym czasie odlatuje ortolan.

Kania wielka, ptak niedołężny i tchórzliwy, zaczyna również swe odloty w sierpniu: widocznie zostaje ona chętnie u nas tylko wtedy, gdy życie drga tu całą pełnią i gdy jest wszędzie obfitość różnych stworzeń. Ale termin odlotów jej nie jest bynajmniej stały, pewna bowiem ilość tych ptaków, bardziej może zaradnych i pomysłowych od reszty towarzyszy, pozostaje zawsze dłużej, na część jesieni, czasami na całą jesień, niektóre próbują nawet zimować, co im najzupełniej może się udać ze względu na rodzaj pożywienia.

We wrześniu odlatują głównie ptaki leśne i zaroślowe, te zwłaszcza, które przyleciały do nas w kwietniu: kwiecień zaczynał stroić drzewa w zieloność, budził do życia owady; wrzesień poczy-

na je odzierać z szaty letniej, a wraz ze zmniejszaniem się i więdnięciem liści zmniejsza się ilość żerowisk dla liszek i różnych owadów, ptaki więc mają mniej pożywienia i zaczynają coraz liczniej uciekać, te szczególnie, które potrzebują większej ilości owadów. Na wodach i błotach wrzesień przynosi mało zmian, nie widzimy więc tam żadnych nowych ciągów, co najwyżej odlatują resztki tych wczesnych gatunków, które nie zdążyły uciec w sierpniu; ale natomiast przylatuje coraz większa rzesza z północy tak, iż ilość ptastwa na błotach i wodach nie słabnie w tym miesiącu, lecz przeciwnie zwiększa się. Wśród ptaków polnych i łąkowych nie widać również wielkich zmian; wszystkie one mniej lub więcej chętnie jadają rozmaite ziarna, tych zaś nie brak we wrześniu. Najwięcej zatem uciekają we wrześniu ptaki leśne i zaroślowe.

Z majowych ptaków opuszcza nas w tym miesiącu reszta dzierzb, mianowicie gąsiorki, których pewna część odlatuje nieraz już w końcu sierpnia; dalej turkawki (koło 15 września) te najpóźniej przylatujące i najwcześniej odlatujące z naszych gołębi i wreszcie kobczyki, uciekające z tych części kraju, w których bawiły przez lato.

Wśród drobnych ptasząt ruch panuje ożywiony: małemi stadkami lub większemi gromadkami uciekają jedne po drugich różne gajówki (Sylviinae), które nie odleciały w sierpniu. Niektóre z nich, mianowicie wójcik i piecuszek (ten drugi zupełnie niezgodnie ze swą nazwą), przeciągają niekiedy pobyt do końca września, a nawet do połowy października. Znikają również pokląskwy, pliszki żółte, delikatniejsze od siwych, różne świergotki, z wyjątkiem łąkowego, który wcześniej od innych przyleciał i dłużej też bawi; dziwaczny krętogłów, któremu teraz również coraz trudniej o pożywienie z każdym dniem. Odlatują jaskółki, oknówki i grzebułki w pierwszej połowie miesiąca, dymówki — drugiej, a czasami nawet w pierwszych dniach października (przed 10-tym). Drobnych owadów we wrześniu krąży już znacznie mniej w powietrzu, a nadciągające długotrwałe deszcze jesienne, zabójcze dla tych owadów, nie mniej groźnemi okazałyby się i dla jaskółek, które tylko w locie mogą łapać swą zdobycz. Za jaskółkami (w drugiej połowie września, zwykle 20-go) podąża i muchołówka, której główny pokarm stanowią również owady, chwytane w locie. We wrześniu zaczynają się rozpraszać państwa trzmieli i różnych owadów pszczołowatych, więc i pszczołojad opuszcza nasze strony, nie czekając, aż zupełnie mu zabraknie ulubionego pokarmu, który i teraz musi zdobywać z większą trudnością.

(D. n.).



ODBUDOWA SOLI W KOPALNI WIELICKIEJ.

DWÓR HABSBURGÓW.

ARCYKSIĄŻĘTA i ARCYKSIĘŻNE.

Potomkowie arc. Karola, wielkiego wodza i bohatera z wojen napoleońskich, dzieci jego syna, arc. Karola-Ferdynanda i arc. Elżbiety, zmarłej w tym roku, zajmują znaczne stanowiska a odziedziczywszy po stryju, arc. Albrechcie, zwycięzcy z pod Custozzy, wielki majątek, są zamożnymi i godnie przedstawiają dom panujący. Najstarszy syn, arc. Fryderyk, służy od najmłodszych lat w wojsku i dosłużył się stopnia dowódcy korpusu piątego, stojącego w Preszburgu. On właśnie odziedziczył największą część spadku po arc. Albrechcie. Ożeniony z kiężniczką Izabelą Croy, zaraz po ślubie przybył do Krakowa w 1858 r., jako dowódca stojącego tam pułku piechoty, i i przepędził tu wraz z młodą i nadobną małżonką lat kilka. Arcyksięztwo prowadzili dom otwarty i gościnny; towarzystwo krakowskie dołożyło ze swej strony starań, aby im uprzyjemnić pobyt; zawiązały się wzajemne, nader miłe, nawet serdeczne stosunki, które zobopólnie pozostaawiły najlepsze wspomnienia. Arcyksiężna Izabela znała już wiele osób z polskiego społeczeństwa; jako panna wchodziła w świat wiedeński pod opieką pani Alfredowej Potockiej. Ówczesne czasy krakowskie były pod względem towarzyskim świetne, do czego obecność arcyksiążęcej pary — jak ją nazwano wtedy — polskiej, znacznie się przyczyniała. Pierwsza ich córka Marja-Krystyna, która w zeszłym roku wyszła za mąż za ks. Salm, urodziła się w Krakowie. Arcyksięstwo, którzy rezydują w Preszburgu, odziedziczyli w Wiedniu wspaniały pałac arc. Albrechta, położony na wzgórzu obok *Burgu,* i czasem dają tam przyjęcia i bale.

Brat arc. Fryderyka, arc. Karol-Sefan, ożeniony z arc. Maryą-Teresą, siostrą męża arc. Waleryi, służył w marynarce i jest kontr-admirałem; wskutek choryby opuścić musiał służbę czynną. Odziedziczył po arc. Albrechcie znany w Galicyi majątek Żywiec. Arcyksiążęca para zamieszkała tam i zdobyła sobie powszechną życzliwość, okazując jej wiele krajowi, starając się zapoznać z jego obyczajami, ludźmi, interesując się wszystkiem, co ją otacza. Dzieci arcyksiążęce uczą po polsku i rodzice wychowują je na dobrych galicyjskich obywateli. Arcyksięcia Karola-Stefana zaliczają chwilowo w Wiedniu do — niezadowolonych.

Trzeci brat arc. Fryderyka, arcyksiążę Eugenjusz, głównodowodzący w Innsbrucku i wielki mistrz zakonu rycerzy niemieckich, a jako taki, używający znacznych dochodów, jest wyniosłej postawy, bardzo przystojny. Odznacza się wśród arcyksiążąt tak zewnętrzną, jak wewnętrzną dystynkcyą i jest prawdziwą ozdobą dworu Habsburgów. Na nieszczęście słabego zdrowia, często zapada. Posiada kilka pięknych rezydencyi i pałac w Wiedniu na *Ringu.* Jego cesarz wysłał na koronacyę do Moskwy, po niespodziewanym zgonie arc. Karola-Judwika. Zaproszony na uroczystości malborskie, wymówił się znanym pięknym listem.

Siostra tych trzech braci, arc. Marya-Krystyna, jest królową-matką hiszpańską. Była w bieżącym roku w Wiedniu na pogrzebie matki arc. Elżbiety.

Arcyksiążę Reiner jest jedną z najbardziej popularnych osobistości w Wiedniu. Urodzony z księżniczki Sabaudzko-Carignan, ma tego rodu rysy, przypomina królów Wiktora-Emanuela i Humberta, ale jest, czem oni nie byli, przystojny; ma też wysmukłość i kształtność Habsburgów-Lotaryngów; jego ogromne wąsy są legendowe. Był pierwszym prezesem konstytucyjnego gabinetu w r. 1860 i przedstawiał zawsze odcień liberalny, co mu zjednało liczne sympatje, zwłaszcza wolnomyślnego dziennikarstwa wiedeńskiego, wzmocnione oświadczeniem się arcyksięcia przeciw ruchowi antysemickiemu. Obecnie jest gorliwym



RZEKA RABA PODCZAS WYLEWU.

i służbistym naczelnym dowódcą Landwehr'y i członkiem oraz protektorem cesarskiej Akademji nauk. Liczy lat siedmdziesiąt sześć, nosi je dzielnie, czerstwy i zawsze czynny; często spotyka się go na ulicach Wiednia. Ożeniony z arc. Marją-Karoliną, siostrą arc. Albrechta, obchodził niedawno swój wojskowy pięćdziesięcioletni jubileusz. Para arcyksiążęca ma w Wiedniu pałac; w lecie przebywa w Baden, w zimie zwykle udaje się na południe, do Cannes. Z polskich rodzin najściślejsze stosunki łączą z nią księztwa Marcelich Czartoryskich, i nieraz arc. Reinerowie odwiedzali ich w Woli pod Krakowem.

Toskańska linja, po utracie tronu we Florencji, osiadła w Austrji. Ma licznych członków. Naczelnikiem rodu jest w. ks. Ferdynand IV Salwator, który w r. 1859, po abdykacji ojca, panował krótką chwilę. Długi czas on i jego blizcy łudzili się nadzieją powrotu z dnia na dzień na tron toskanski. Ożeniony najpierw z księżniczką Saską, powtórne zawarł związki małżeńskie z ks. Alicją Parmeńską.

W. ks. Toskańscy mają swój dwór, liczne posiadłości i zamki, i mieszkają w Salcburgu. Niewiele się zwykle o nich słyszy; teraz słyszało się zbyt wiele z powodu córki, ks. Ludwiki Saskiej i syna starszego, arcyks. Leopolda-Ferdynanda, dzisiejszego Wölflinga. Ten były arcyksiążę przez dłuższy czas pełnił służbę wojskową w Przemyślu i już tam niezbyt dobre pozostawił wspomnienie: był dziwakiem i nietaktownym. Nie szukał zetknięcia z okolicznem obywatelstwem, a obrażał się, gdy go nie zapraszano na polowania. Gdy razu jednego przybył do Lwowa na bal, dany przez namiestnika, ks. Sanguszkę, i wedle etykiety dworu Habsburgów przyjęty został u schodów, wśród dwóch kandelabrów, przez gospodarstwo — pierwsze słowa, które umiał powiedzieć, były zapytaniem, wprost wystosowanem do księżnej: czy należy do niej mówić „Altesse“? Po takim wstępie, księżna Sanguszkowa wiedząc, że lubi taniec, zaprosiła go do sali balowej i wskazując na grono pięknych pań i panien, rzekła: „Jest dosyć tancerek, może w. c. wysokość zechcesz wybrać jedną i rozpocząć tańce“, na co dostojny, lecz niegrzeczny gość odrzekł: „Nie widzę wcale, z kim mógłbym tańcować“; wtedy księżna ukłoniwszy się, powiedziała: „Widzę, że w. c. wysokość przenosisz towarzystwo mojego męża nad nasze“ — i odwróciła się.

Prócz książąt Toskańskich są inni jeszcze, „królowie na wygnaniu“, którzy po burzach politycznych znaleźli schronienie w Austrji.

W pierwszym rzędzie ks. Cumberland, syn ostatniego króla hanowerskiego, ożeniony z Tyrą, księżniczką duńską, siostrą Cesarzowej wdowy rosyjskiej. Księztwo Cumberland, bardzo majętni, zwłaszcza, odkąd cesarz Wilhelm II zwrócił im zabrane przez Bismarka hanowerskie fundusze, prowadzą w Wiedniu dom otwarty w pałacu, położonym około Schönbrun, w lecie zamieszkując piękny zamek w Gmunden. Księztwo mają trzy nadobne i bardzo miłe córki, z których starsza wyszła za mąż za ks. Badeńskiego; dwie zaś inne bywają w świecie wiedeńskim i są ozdobą zabaw. Ks. Cumberland zrośli się z towarzystwem wiedeńskiem. Książę z wielką postępuje godnością i dotąd nie chciał ugiąć czoła przed dokonanym faktem: praw do korony hanowerskiej nie zrzekł się.

Matka księcia Cumberland, sędziwa wdowa po ostatnim królu hanowerskim, urodzona księżniczka sasko-altenburska, mieszka w Gmunden, liczy lat 85 i rzadko ukazuje się w Wiedniu. Częściej spotkać można w tutejszem towarzystwie jej niezamężną córkę Marję-Ernestynę. Otacza te panie szacunek, należny nieszczęściu, z godnością znoszonemu Mają one swój dwór, złożony z wiernych dawnych poddanych.

Arcyksiążę Józef, syn węgierskiego palatyna, założył, że się tak wyrażę, węgierski odłam panującego domu. Ożeniony z księżniczką Klotyldą Koburg-Kohary, siostrą ks. Ferdynanda Bułgarskiego, jest on naczelnym dowódcą honwedów, zespolił się zupełnie ze społeczeństwem węgierskiem, i on, oraz jego dzieci lepiej mówią po węgiersku, niż po niemiecku; jest też nadzwyczaj na Węgrzech popularny, a z Wiedniem nie ma prawie żadnych stosunków. Majętny, posiada przepyszną na Dunaju pod Pesztem wyspę, oraz majętność Alcsuth, w której często przebywa. Syn jego, arcyksiążę Józef-August, ożeniony jest z wnuczką cesarza, córką arcyks. Gizelli, księżniczkę bawarką Augustą; córką, arcyks. Marya-Dorota zaślubiła w 1896 r. księcia Filipa Orleańskiego, prezydenta do korony francuzkiej. Arcyks. Józef obchodzić będzie w bieżącym roku swój siedemdziesięcioletni jubileusz, do którego wielkie czynią się przygotowania na Węgrzech.

Dwór osobny ma wdowa po arcyks. Karolu-Ludwiku, Marja-Teresa, trzecia jego żona, z domu księżniczka Bragancka, infantka portugalska. Pani ta, niezwykłej urody, była po cesarzowej Elżbiecie najpiękniejszą kobietą na dworze Habsburgów. Przykładna małżonka i matka, jest zarazem najlepszą macochą dzieci arcyks. Karola-Ludwika z drugiego małżeństwa, zwłaszcza czułe łączą ją stosunki z następcą tronu, arcyks. Franciszkiem Ferdynandem; ona zastąpiła mu matkę, gdy w Reichstadt zaślubił hrab. Zofję Chotek. Na tę uroczystość, prócz arcyks. Marji-Teresy, żadna arcyksiężna ani arcyksiążę nie przybyli. Pierwsza jej córka, Marja-Anuncjata, zaręczona była z ks. bawarskim, lecz narzeczeni rozeszli się; druga córka Elżbieta wyszła za mąż za ks. Ludwika Lichtensteina, syna Alfreda, urodzonego z Potockiej z Łańcuta, i jednego z najrozumniejszych wielkich panów w Austrji. Arcyksiężna Marja-Teresa zamieszkuje w Wiedniu pałac arcyks. Karola-Ludwika, a na letnie mieszkanie cesarz przeznaczył jej Laksenburg, dawną rezydencję arcyks. Rudolfa i arcyksiężnej Stefanji. Jest z drugiego małżeństwa arcyks. Karola-Ludwika z księżniczką neapolitańską trzeci syn, Ferdynand-Karol, pułkownik w armji austrjackiej, przystojny jak bracia; obecnie zamie-

szkał w Pradze, w starożytnym zamku królewskim na Hradczynie, co bardzo schlebia i podoba się Czechom.

Rodzina Koburg-Kohary należy do tutejszego dworu. Pomimo mezaljansu z bardzo bogatymi Kohary, pozostawiono im przywileje domów panujących i tytuł „Altesse“. Ks. August ożenił się z księżniczką Orleańską Klementyną, córką króla Ludwika-Filipa i założył dzisiejszą linję austrjacką, Koburgów-Kohary. Najstarszy jego syn Filip ożeniony jest z głośną Ludwiką, księżniczką belgijską, córką króla Leopolda; drugi syn, Ferdynand jest księciem bułgarskim. Zamek Ebenthal, niedaleko Wiednia, jest główną siedzibą rodu. Największego znaczenia używa, już bardzo podeszłego wieku, księżna Klementyna.

Brat arcyks. Marji-Teresy, ks. Don Miguel Braganza, syn słynnego Don Mignela portugalskiego, który na przemian bunt przeciw ojcu podnosił i przedstawiał najczystszy legitymizm, jest obecnie pretendentem, ale bez najmniejszych złudzeń. Przebywa najczęściej w Wiedniu, gdzie jest lubiany dla miłych przymiotów i towarzyskości. Ks. Braganza ma dwóch synów, urodzonych z ks. Thurn et Taxis, znanych w świecie, w którym się bawią, i na „turfie“. Młodszy Józef, był w tym roku na polowaniu w Jarmolińcach u hr. Ksawerego Orłowskiego; obecnie udał się do Australji.

Wdowa po ostatnim ks. Modeńskim, siostra ks. regenta bawarskiego mieszka w Wiedniu, gdzie ją co roku brat odwiedza. Jest bardzo podeszłego wieku.

Ks. Parmy, który ma nadzwyczaj liczne potomstwo zamieszkuje w okolicach Wiednia.

Wreszcie nie można pominąć córki zmarłego następcy strony, arcyks. Rudolfa, arcyksiężny Elżbiety, pełnej wdzięku. Odziedziczyła ona urok ojca i odznacza się szlachetnym sposobem myślenia. Z miłoci wy szła za mąż za ks. Windischgrätz, ale nie utraciła ani stanowiska na dworze, ani tytułu arcyksiężniczki. Mieszka wraz z mężem, który służy w wojsku, w Pradze.

Wszyscy arcyksiążęta i arcyksiężne oraz powyżej wymienieni książęta podlegają osobnej jurysdykcji urzędu dworskiego, zaś cesarz ma nad niemi nieograniczoną władzę. Wszyscy arcyksiążęta i książęta domów panujących, należących do dworu Habsburgów, ozdobieni są Złotem Runem. Służą w wojsku. Żaden z nich nie mięsza się do polityki i żaden najmniejszego nie ma wpływu na sprawy publiczne. Za rządów sprawiedliwego szlachetnego monarchy wszelki faworytyzm wygnany jest z dworu Habsburgów.

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

I.

Milioner i kelner.

— Co pan rozkaże?

To mówiąc, Julian, starszy kelner w hotelu Babilon pochylił się grzecznie przed żywym, średniego wieku mężczyzną, który wszedł do salonu-fajczarni i zasiadł w trzcinowym fotelu, stojącym w rogu obok oranżerji. Była godzina 7 min. 45, pewnego gorącego, czerwcowego wieczora, a w hotelu Babilon miano właśnie podawać obiad. Mężczyźni różnego wzrostu i wieku, różnej narodowości, wszyscy przybrani w elegancki strój wieczorny, przechadzali się po obszernej sali. Delikatny zapach kwiatów, szmer bijącej fontanny dochodziły z oranżeryi. Kelnerzy, pod rozkazami Juliana, krążyli dokoła, stąpali cicho po grubych, wschodnich dywanach, kołysali tace ze zręcznością akrobatów i spełniali rozkazy gości z miną poważną, pełną głębszego znaczenia, której tajemnicę znają jedynie pierwszorzędni kelnerzy hotelowi.

W sali panowała atmosfera ciszy, spokoju, stanowiąca cechę właściwą hotelowi Babilon. Sądzić należało, że nic nie mogło się przytrafić, coby zamąciło arystokratyczny, monotonny tryb życia we wzorowo zarządzanym zakładzie. Tego jednak wieczoru zajść miał fakt, nieznany dotychczas w kronikach hotelu.

— Co pan rozkaże? — powtórzył Julian z odcieniem niezadowolenia w głosie; nie zwykł był ponawiać gościom pytań swoich.

— Oh! — zawołał żywy, średniego wieku mężczyzna, podnosząc powieki. Nieświadomy szacunku, należnego naczelnemu kelnerowi, zmrużył siwe oczy, postrzegłszy wyraz zniecierpliwienia na twarzy Juliana.

— Przynieś jeden całusek anielski.

— Przepraszam. Czego pan żąda?

— Przynieś, mówię, kieliszek całuska anielskiego, a nie trać czasu.

— To zapewne jakiś trunek amerykański którego my tu nie trzymamy — odparł Julian podniesionym, lodowatym głosem, na który obejrzało się z niechęcią kilka osób, jakby zdziwionych przerwą zwykłej ciszy. Powierzchowność człowieka, do którego kelner przemawiał, uspokoiła obecnych; wyglądał na doświadczonego angielskiego turystę, który, nawykłszy do hotelowego życia, instynktem odgaduje, gdzie może narobić hałasu, a gdzie należy zachować się przyzwoicie, jak w klubie. W salonach hotelu Babilon wypadało zachowywać się, jak w klubie.

— Nie dowodziłem, że macie u siebie ten trunek, sądzę jednak, że w hotelu możecie podobną mieszaninę urządzić naprędce.

— Nie jest to hotel amerykański, panie.

Rozmyślna słów tych zuchwałość ukrytą była pod maską pozornej uprzejmości. Gość wyprostował się i rzucił łagodne wejrzenie na Juliana, który głaskał ręką rude swoje faworyty.

— Weź kieliszek od likieru — rzekł nowoprzybyły na pół szorstko, na pół z dobrotliwą pobłażliwością — wlej do niego w równej części maraskino i „crème de menthe". Nie mieszaj, nie potrząsaj kieliszkiem i przynieś napój. Powiedz przytem zarządzającemu barem...

— Zarządzającemu barem, pan mówi?

— Tak jest; niech zanotuje przepis, bo prawdopodobnie zażądam anielskiego całuska co wieczór przed obiadem, póki mieć będziemy taki upał nieznośny.

— Przyślę panu żądany trunek — oświadczył Julian.

Był to ostatni rzucony na pożegnanie pocisk, mający dać do zrozumienia, że nie wypada go traktować na równi z innymi kelnerami, a kto zechce mu ubliżyć, uczyni to z własną krzywdą.

W parę minut później, podczas gdy średniego wieku gość wychylał kieliszek całuska anielskiego, Julian naradzał się z panną Spencer, prowadzącą księgi rachunkowe hotelu Babilon. Biuro jej było obszernym pokojem, z dwoma od połowy oszklonemi drzwiami, wychodzącemi jedne na sień główną, drugie na salon do palenia. Część tylko zajęć rachunkowych tu była załatwiana, pokój ów bowiem służył za mieszkanie pannie Spencer, zarówno jak Julian znanej i ważnej osobistości. Hotele tegoczesne utrzymują zwykle mężczyzn do prowadzenia rachunków biurowych; hotel Babilon jednak różnił się w tym względzie od innych. Panna Spencer zarządzała biurem, odkąd olbrzymie kominy hotelu strzeliły w górę ku niebu i pozostała na swojem stanowisku, mimo odmiennych, gdzieindziej przyjętych zwyczajów. Ubrana zawsze starannie w czarną jedwabną suknię, spiętą przy szyi brylantową broszką, w śnieżnej białości wyglądających z pod rękawów mankietach, z ufryzowanemi blond włosami, wyglądała dziś równie młodo, jak przed laty. Wieku jej nikt nie znał, prócz niej samej i nikt o to nie dbał. Okrągłość powabnej twarzy była ciągle bez zarzutu, a wieczorem panna Spencer stanowiła pożyteczną ozdobę, którą szczyciłby się każdy pierwszorzędny hotel. W znajomości rozkładu jazdy pociągów kolejowych, statków parowych, programów teatralnych i koncertowych była niezrównaną, lubo nigdy nie podróżowała i nie uczęszczała do teatrów lub na koncerty. Zdawało się, jakby całe życie spędziła w tem biurze swojem, udzielając objaśnień gościom, telefonując do różnych wydziałów i urzędów, albo rozmawiając jak to czyniła w tej chwili, z kolegami, spełniającymi obowiązki służbowe w hotelu.

— Kto zajmuje numer 107? — pytał Julian czarno przybranej damy.

Panna Spencer przejrzała listę lokatorów.

— Pan Teodor Racksole z New-Yoi ku.

— Domyśliłem się zaraz, że to Amerykanin — rzekł Julian po krótkiej przerwie. — Mówi jednak równie dobrze, jak pani lub ja po angielsku. Powiedział, że zażąda co wieczór całuska anielskiego: mieszaniny maraskina i likieru miętowego. Postaram się, iżby nie bawił tu u nas zbyt długo...

Panna Spencer skrzywiła usta do uśmiechu. Wzmianka, że Teodor Racksole pochodzi z New-Yorku przypomniała jej, o czem wiedziała tak dobrze, jak i Julian, że ów Teodor Racksole był trzecim z rzędu najbogatszym człowiekiem w Stanach Zjednoczonych i jednym z największych milionerów na świecie. Mimo to stanęła po stronie Juliana. Unikatem był wprawdzie Racksole, ale do unikatów zaliczano również Juliana, a panna Spencer oburzała się, zarówno jak jej towarzysz na człowieka, bez względu, czy był milionerem, czy cesarzem, który ośmielał się żądać „całuska anielskiego", nędznej mieszaniny maraskino i likieru miętowego w obrębie wspaniałego hotelu Babilon. W całym świecie turystów było wiadomo, że po za właścicielem znajdują się jeszcze trzy bożyszcza w hotelu Babilon: Julian, naczelny kelner, miss Spencer i znakomitszy od nich jeszcze, kuchmistrz Rocco, który zarabiał dwa tysiące funtów szt. rocznie i posiadał śliczną willę w Lucernie nad jeziorem. Wszystkie większe hotele na ulicy Northumberland i Wybrzeżu Tamizy usiłowały bezskutecznie pozyskać go dla siebie; Rocco wiedział dobrze, że nie otrzymałby świetniejszej posady nad kuchmistrza w hotelu Babilon, który lubo nie rozsyłał ogłoszeń, nie należał do stowarzyszenia akcjonaryuszów, słynął jako jeden z największych zakładów w Europie, celujący przepychem, elegancyą i tem, co nazywają „stylowością".

Wzniesiony na wybrzeżu Tamizy, hotel Babilon mimo swej okazałości, zakasowany był kolosalnymi rozmiarami kilku innych hoteli w pobliżu; miał tylko trzysta pięćdziesiąt numerów, gdy dwa podobne zakłady w sąsiedztwie liczyły po sześćset i czterysta pokoi. Hotel Babilon wyróżniał się tem jednak, że posiadał osobny podjazd dla głów ukoronowanych; poczytywano za stracony dzień, w którym nie podejmowano w hotelu co najmniej jakiego księcia niemieckiego lub indyjskiego maharadżę. Gdy Feliks Babilon — od którego nazwiska, nie bez pewnej aluzji do ogromu tegoczesnego Londynu, hotel otrzymał miano swoje — gdy Feliks Babilon zakładał hotel w r. 1869, postarał się ściągać do niego osoby królewskiego rodu, i to stanowiło tajemnicę jego powodzenia. Jako syn bogatego właściciela w Szwajcarji i finansisty, zawiązał stosunki z urzędnikami wielu dworów europejskich, nie żałując na to pieniędzy. Różni królowie wołali na niego po imieniu i nawiedzali hotel „Feliksa", co Feliks znajdował korzystnem dla swego przedsiębiorstwa.

(C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Druk W. Korneckiego w Krakowie.